



ARSÈNE LUPIN

DŻENTELMEN
WŁAMYWACZ

KOLEKCJA DLA DZIECI

Wydawnictwo Tandum
www.wydawnictwo-tandum.pl

Copyright: © Dariusz Rekosz [2021]

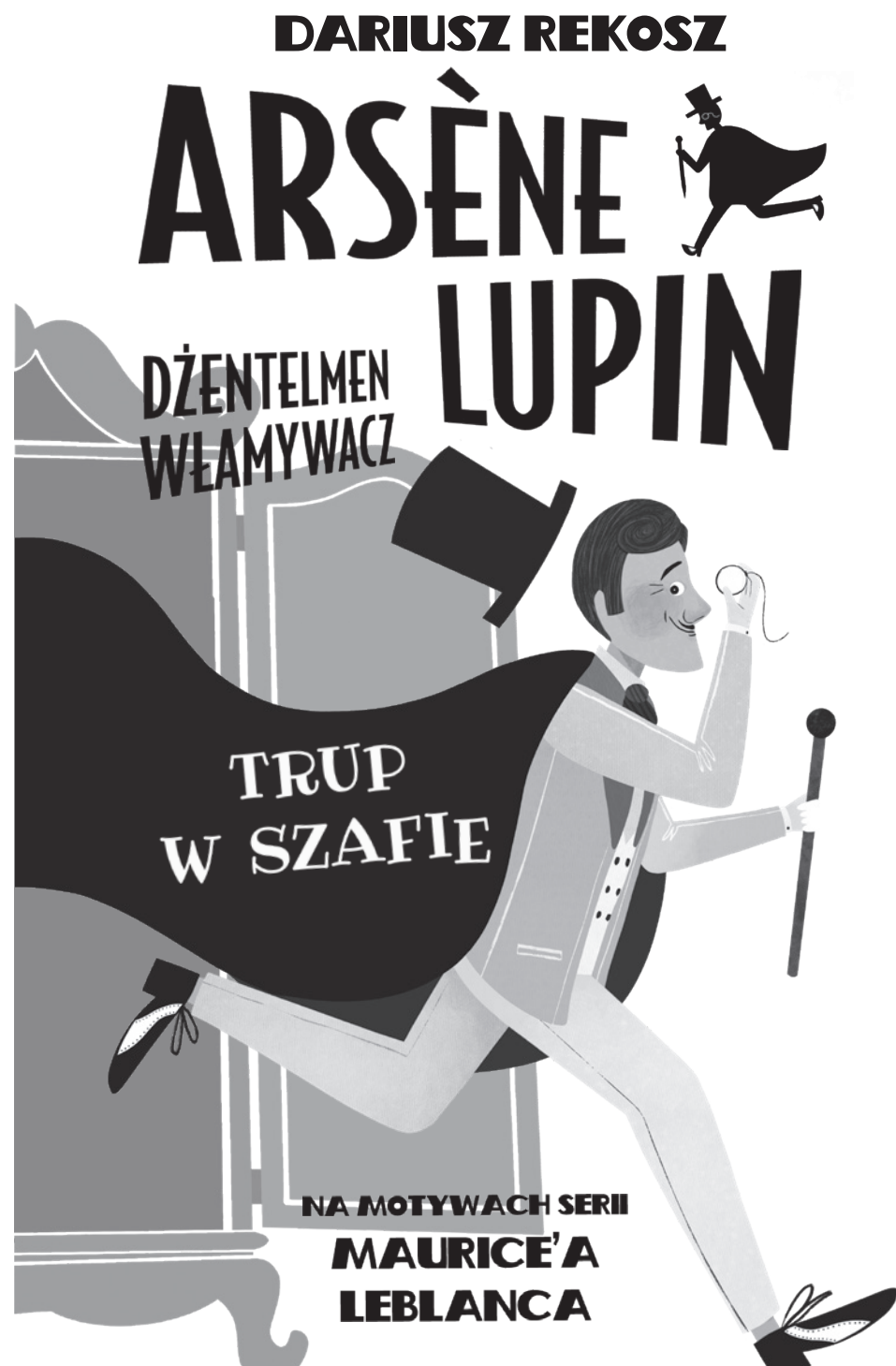
Copyright for this edition © 2021 by Wydawnictwo Tandum

Ilustracje: Natalia Harańczyk
Projekt okładki: Natalia Harańczyk

Skład i przygotowanie do druku: Positive Studio
Redakcja i korekta: Małgorzata Kłosowicz
Korekta techniczna: Positive Studio

Wydanie I
ISBN: 978-83-8233-862-1
EAN: 9788382338621
ISBN e-book: 978-83-8233-863-8

Druk: Edica



DRUGI MOST

Ostatnie promienie zachodzącego słońca przebijały przez czubki drzew, złocąc igliwie i oświetlając wysokie trawy rosnące na skraju nadrzecznej skarpy. Opadający stromo brzeg kończył się gęstymi szuwarami, za którymi żwawo przepływała zachodnia odnoga Rodanu. Na drodze prowadzącej z Peaugres pojawiły się trzy zakapturzone postacie. Ich długie cienie dotykały linii lasu. Szli obok siebie równym tempem, licząc na to, że do opactwa Ambrumese postawionego nieopodal wioski Sablons dotrą, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Każdy, kto spotkałby teraz tych trzech benedyktynów, z pewnością mógłby się wystraszyć i ukryć za najbliższym drzewem. Byli wysocy i dobrze zbudowani. Jedynie idący w środku utykał lekko na lewą nogę, ale wspólnie wyglądali jak przesuwanający się w habitach mur.



Utykający mnich niósł przed sobą worek, który obwiązany na jego karku kołysał się w prawo i w lewo. Zakonnik podtrzymywał go jedną ręką, a w drugiej dzierżył różaniec. Można było odnieść wrażenie, że zawiniątko to mocno ciąży mnichowi. Od czasu do czasu zmieniał rękę, jednak święte koraliki nadal mocno ścisnął w tej samej dłoni.

– Bracie Victorze, pomoc ci? – zapytał w końcu idący po lewej.

– Nie ma takiej potrzeby, bracie Robercie. Cel niedaleki.

– Ale już tak długo uginacie się pod brzemieniem...

– Dam radę! – przerwał obcesowo. – Opactwo tuż, tuż... – Wyciągnął przed siebie dłoń z różanicem i wskazał gdzieś w dal.

Jego rozmówca poruszył głową, jakby chciał skłonić się podczas marszu. Przez chwilę wyglądał niczym pelikan połykający jakiś przysmak.

– Gdybyśmy jednak... ja albo brat Michael... – Spojrzał na trzeciego zakonnika.

– Wiem – zripostował Victor. – Wiem, że mogę na was liczyć. Ważne, abyśmy jak najszybciej dotarli na miejsce. Zdajecie sobie chyba sprawę, że ostatnie spotkanie z Maurami nie było przypadkowe.

– Zdajemy – odparli chórem i zamilkli.

Zamilkł także brat Victor i mimo kontuzji przyspieszył kroku. Towarzyszący mu poszli za jego przykładem.

Kwadrans później ujrzeli opactwo.

Wystarczyło przejść przez kamienny most przewieszony nad Rodanem. Budowla nie była zbyt duża, ale wyglądała majestatycznie. Przyświecające z tyłu zachodzące słońce zabarwiło jej białe mury na głęboki pomarańcz przechodzący od dołu w brąz. Wiatr niósł od rzeki wilgoć

i w powietrzu wyczuwało się wyraźną rzeźkość. Była ona jednak zapowiedzią nocnego chłodu, przed którym ludzie zamykali się w domostwach, a zwierzęta chowały w kryjówkach.

– Ambrumese – rzekł Victor i westchnął głęboko.

Zaraz też zwrócił się do towarzyszy:

– Pamiętajcie, żeby nie strzępić języka na darmo. Nie gadać niepotrzebnie z co pośledniejszymi braciszkami.

– Dobrze – odparli chórem.

– Właściwie jeno z opatem Frederickiem powinniśmy sprawę całą załatwić.

– A jeśli szpiedzy dotarli tu przed nami? – zapytał Robert, zawieszając wysoko koniec zdania.

– Tego wykluczyć nie sposób – odparł Victor. – Dlatego oczy szeroko otwarte mieć musicie. I zwracać uwagę, czy kto nie knuje po kątach. Jak gdzieś rozmawiać ze sobą w ukryciu trzech będzie mnichów, to jeden z was ma być tym trzecim. Zrozumiano?

– Zrozumiano – zawtórowali ponownie.

Opat Frederick spodziewał się przybyszów. To dlatego nie mieli problemu, żeby furtian

przepuścił ich przez bramę i wskazał ścieżkę prowadzącą wprost do przełożonego. Mimo iż wspólna wieczerza braci odbyła się w refektarzu ponad godzinę temu, opat kazał zastawić dodatkowy stół w jego komnacie i podjął trzech mnichów polewką z kaczki oraz omletem po prowansalsku.

Victor ani na chwilę nie rozstawał się z tobołkiem, który podczas jedzenia trzymał na kolanach – między blatem stołu a swoim brzuchem. Usługiwał im brat Albert, ale tylko przez chwilę, bo gdy podał drugie danie, a w kielichach znalazło się klasztorne piwo, opat kazał mu opuścić komnatę i udać się na wieczorną modlitwę.

– Czy możemy czuć się tu bezpiecznie? – zagaił Victor.

Frederick otarł usta brzegiem serwety i pokiwał głową .

– Bezpieczniej niż u Pana Boga za piecem – odparł z uśmiechem.

– Brat wie, że lepiej, aby podczas naszej wizyty...

– Wiem, mój drogi – przerwał i położył Victrowi dłoń na przedramieniu. – Wiem doskonale. Mówcie bez ogródek.

Wychylił łyk napoju i odstawił kielich na lewo od talerza. Rozparł się wygodnie na siedzisku, po czym chwycił za blat stołu.

– Czasami ściany miewają uszy. – Victor niepokojnie rozejrzał się po pomieszczeniu.

Robert i Michael poszli jego śladem.

– Ale nie tu – skwitował Frederick zdecydowanym głosem. – Mam dwóch takich braci, którzy w pełni kontrolują, kto i kiedy znajduje się w murach opactwa.

– A ta posiadłość? Niejako przyklejona do owych murów? Zmierając tu, widzieliśmy, że na placu tuż przed nią kręcili się jacyś ludzie. O tej porze?

– To posiadłość mojego kuzyna – przyznał Frederick. – Nazywa się Henry Daubin-Moust, to hrabia włości Isère. Stąd aż do rogatek regionu Walencji.

– Całkiem spory obszar – zauważył Victor.

– Nie chcę się o nim wypowiadać – uciął rozmowę opat. – Kuzyn, a jakby obcy. Całe szczęście, że jego ojciec pomógł ufundować ten święty przybytek. – Powiódł wzrokiem po sklepieniu pomieszczenia.

Mnisi zrobili to samo. Brat Robert zauważył pajęczynę w rogu pod sufitem, ale nie odezwał się ani słowem.

– Jak mogę pomóc? – spytał Frederick, składając dłonie prawie jak do modlitwy.

Victor odchrząknął i spojrział na towarzyszy.

– Idźcie sprawdzić, czy nikt nie stoi za drzwiami.

– To zbytęczne – zripostował opat.

– Idźcie – powtórzył mnich.

Zakonnicy posłusznie podnieśli się z siedzisk i poszli w stronę wejścia. Victor czekał. Robert uchylił drzwi i jednym okiem wyrztał na zewnątrz. Ciemny korytarz. Ani żywej duszy. Michael stał tuż za nim. Wówczas coś posłyszeli, jakby szurnięcie w dalszej części korytarza.

– Sprawdźcie to! – nakazał Victor, wymownie spoglądając na Fredericka.

Robert nieco szerzej uchylił drzwi.

– To pewnie nic takiego... – stwierdził Frederick.

– Ktoś się tu jednak kręci.

– Może koty?

– Koty?

– Wszędzie ich pełno.

Victor zmrużył oczy i wykrzywił usta. Nie odrywając wzroku od opata, syknął w stronę swoich ludzi:

– Sprawdźcie te... koty.

Michael zabrał ze stołu jedną ze świec i wyszedł na korytarz, a Robert postąpił za nim. Przymknęli drzwi.

– Myślę... – zaczął opat, ale mnich go powstrzymał, kładąc palec wskazujący na ustach.

Zapadła cisza.

– Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby to wpadło w niepowołane ręce. – Poglądził tobolek, który cały czas kurczowo ścisnął przed sobą.

– Co to jest?

Victor spojrzał Frederickowi w oczy.

– Cenne świętości – wyszeptał. – Diadem Konstantyna oraz ponad pięć tysięcy denarów Karola Wielkiego.

– Ile?!

– Ciii... – Mnich ponowił gest.

– Pięć tysięcy... Ile to dziś może być warte?

Victor wzruszył ramionami.

– Kto to wie – odparł, przesuwając worek bliżej stołu. – Na pewno sporo. Ten, który zlecił mi



przechowanie skarbu i dostarczenie go do Grenoble, jest w stanie zapłacić dwanaście tysięcy franków.

– Mój Boże... – Frederick zasłonił usta dłonią.

– Więc sam widzisz, bracie, że wartość tego zawiniątka musi być pewnie znacznie większa.

Nagle posłyszeli przeraźliwy krzyk dochodzący z korytarza. Zamarli.

– Co to było? – zapytał Victor.

– Nie mam pojęcia – odparł opat.